

AIDS – kształt mitu*

Monika Sznajderman

U schyłku XX wieku, gdy medycyna bliska już była obwieszczenia triumfu nad śmiercią, przynajmniej w tak zwanym cywilizowanym świecie, karta się odwróciła i znowu mamy przed sobą tak dobrze znany motyw Triumfu Śmierci.

Spoglądając wstecz na rok 1983 to tytuł artykułu w specjalnym, wieńczącym ów rok numerze „Newsweeka”.¹ „Od roku 1930 – czytamy w nim – nie widział świat tak klarownie złowieszczonego roku, czasu ciemności, kiedy wszystko szło ku gorszemu”; w Libanie i Syrii trwa wojna, rozmowy pomiędzy USA i ZSRR zostały zerwane, ponad dwustu niewinnych ludzi poniosło śmierć w wyniku zestrzelenia koreańskiego samolotu, w środkowej i południowej Ameryce nie maleje polityczny terror, a w Trzecim Świecie głód. Prócz tego samobójstwa i zabójstwa, porwania i terrorystyczne zamachy. „Nawet natura stała się wroga i obróciła się przeciwko człowiekowi: zmienił się prąd Pacyfiku, wywołując na całym świecie powodzie i susze”, a „hawajski wulkan Kilauea obrócił idylliczny, turystyczny raj w ogniste piekło gdy na 500 stóp szeroka rzeka lawy pochłonęła drzewa i domy”. Do tego jeszcze „dwóch amerykańskich kongresmenów i minister przyłapanych zostało na skandalu obyczajowy” oraz, jako zwieńczenie pejzażu czasów ostatecznych, „Śmiertelna nowa choroba, zwana AIDS, tajemnicza i jak dotąd nieuleczalna, sterroryzowała homoseksualistów i zaczęła szerzyć się na świecie”. Mogłoby się wydawać, iż spełnia się przepowiednia, zawarta w starym micie pelazgijskim o pięciu wiekach ludzkości...

W podobnie apokaliptyczny ton uderzają, gdy mowa o AIDS, na równi media kultury wysokiej i niskiej, prasa, naukowe i popularnonaukowe publikacje i ludowe przepowiednie o końcu świata. AIDS – „ten skrót jest dziś synonimem śmierci i szatana”, czytamy w artykule, opublikowanym na łamach „Der Spiegel” w 1985 roku. „W wielkich miastach pojawili się już pierwsi prorocy, wieszczący koniec świata, Guru Bhagwan przepowiada ponuro, że AIDS sprawi, iż III wojna światowa będzie już niepotrzebna – ofiarą nowej zarazy padną i tak dwie trzecie ludzkości.”² W książce Gene Antonio *AIDS – zmowa milczenia* jej autor w punktach podsumowuje „Katastrofalne skutki rozprzestrzeniania się AIDS: Jeżeli nie zostaną szybko podjęte kroki, które zapobiegą błyskawicznemu rozwojowi epidemii, skutkiem będzie katastrofa nie mająca precedensu w całych dziejach ludzkości.” Dalej Antonio wymienia kolejne sfery życia, które ulegną całkowitemu zniszczeniu – „ruina systemu opieki społecznej”, „ruina systemu opieki zdrowotnej”, „chaos społeczny i ekonomiczny” oraz, co najważniejsze, zagłada biologiczna całego ludzkiego gatunku. „Miliony umierających wśród pogłębiającej się degeneracji umysłowej, ruina ekonomii, poczucie narodowej klęski – to nas czeka, jeśli nie zrobimy co w naszej mocy, aby powstrzymać epidemię.”³

Więści o Apokalipsie, której jednym ze znaków jest właśnie AIDS, błyskawicznie rozeszły się po całym świecie. „Pan Bóg nie miał co wymyślić i stworzył AIDS, ale jak to nie pomoże, to będzie zagłada świata” – mówi jeden z mieszkańców Małego Cichego, wioski na Podhalu. Inny uważa z kolei, iż „AIDS pojawił się na świecie, żeby ludzie wymarli, bo Pan Bóg chce skazać ludzi, zaczął od Czarnobyli – to na

ludzi wpłynęło. Na ziemi był żółty pył, jak się przeszło po nim to się zaraz chorowało.”⁴ AIDS doskonale pasuje do starego apokaliptycznego scenariusza, uruchamianego zazwyczaj w czasie wszelkich plag. „Jasnovidz z Ameryki Północnej” – jak czytamy w broszurce – któremu powierzono „wszystkie te rzeczy, które mają nadejść, jak więc kolejność poprzedzających zdarzeń przed wielką karą, jak trzęsienia ziemi, katastrofy, choroby, polityczne i społeczne wydarzenia, nieurodzaje, powodzie i inne nadprzyrodzone rzeczy, które będą manifestować się na świecie”, wymienia wśród nich straszną chorobę – AIDS II, „której można nabawić się przez sam dotyk osoby, która na tę chorobę zachoruje. Lecz Niebiosa obejmują tą chorobą całkowicie i wyłącznie środowisko homoseksualne jako ostrzeżenie dla świata, by zmienić nasze prawa, naszą moralność, nasze zaniedbania, pozwalające te rzeczy kontynuować.”⁵ Co ciekawe, AIDS – niezgodnie z faktycznym stanem rzeczy, lecz absolutnie w zgodzie z porządkiem mitycznym – przyjmuje tu postać choroby, atakującej zniemacka i gwałtownie; tak jakby dla tego, co w dniu Apokalipsy objawić ma najwyższą moc idealnym modelem miała już na zawsze pozostać plaga, gwałtownością przypominająca Czarną Śmierć. „Ta choroba – twierdzi Jasnovidz – potrzebuje tylko czterech dni do inkubacji w organizmie. Chory umiera w ciągu dwóch tygodni. Symptomy są bardzo podobne do zapalenia opon mózgowych.” (Proszę zwrócić uwagę na zmianę czasu przyszłego na teraźniejszy, co może podkreślać pewność przepowiedni.)

Nie jest to wyobrażenie odosobnione. Niezwykle podobna epidemia zdziesiątkowała ludność Stanów Zjednoczonych na przykład we współczesnej popularnej powieści science-fiction Larry R. Leichtera *Epidemia*.⁶

* * *

AIDS ożywia najstarsze, związane z wielkimi plagami lęki; zaraza, plaga, epidemia to jego metafory najczęstsze i najpopularniejsze. Pozostając w ich kręgu, dziedziczy AIDS zarazem tę samą symboliczną mowę, jaką od wieków przemawiały zaraza, plaga, epidemia: symboliczną mowę zła. Chciałabym zaryzykować tutaj tezę (o której szerzej pisałam w innym miejscu)⁷, że zło, wcielone w wyobrażenia plagi czy zarazy, sięga najstarszych, najbardziej archaicznych warstw świadomości i kultury; że sięga ono mianowicie, według określenia Paula Ricoeura „pierwszego 'schematu' zła”, a zatem wcześniejszego od symbolizmu grzechu i winy symbolizmu zmy, skalania, nieczystości.⁸ Oczywiście, te dwie późniejsze koncepcje także są tutaj obecne, niemniej jednak właśnie ta pierwsza podstawowa wydaje się dla fantazmatów plagi szczególnie charakterystyczna.

W pojęciu zmy (którą określa Ricoeur, w ślad za Petazzonim, jako „akt pogłębiający zło, nieczystość, fluid, tajemnicze i szkodliwe *quid* oddziaływające dynamicznie, a zatem magicznie”⁹) dla mitycznego pola wyobrażeń związanego z tematem zarazy szczególnie istotne są, w moim przekonaniu, dwa momenty: wyobrażenie czegoś kalającego

* Artykuł jest wersją ostatniego rozdziału mojej książki *Zaraza. Mitologia dżumy, cholery, AIDS*, która ukaże się w Wydawnictwie Naukowym Semper.

(zarówno materialnego jak też symbolicznego), co kała przez kontakt i zarażenie, oraz kwestia zasadniczej ambiwalencji zmaży, wyrażająca zarazem ambiwalencję wszelkich zjawisk nieczystych (to właśnie magiczna koncepcja zmaży, uważa Ricoeur, dała początek do dziś żywej symbolice czystego i nieczystego, wraz z całym towarzyszącym jej bogactwem odcieni). Medyczny sens zaraźliwości w istocie jest zawsze wtórny wobec idei magicznego skalania, zarażenia, dotknięcia – dotknięcia zmażą choroby, śmierci i nieczystości; jest wtórny wobec zmaży należącej do porządku sakralnego. „Od początku zmaża jest czymś więcej niż tylko plamą – pisze francuski filozof – wskazuje na to, że cała osoba jest tu dotknięta w swym stosunku do sacrum.”¹⁰

Ambiwalencja natury zmaży wynika więc z analogicznej ambiwalencji zjawisk należących do porządku sacrum, które w skalaniu dostrzec pozwalają zarówno stronę negatywną jak też pozytywną, zarówno „przekleństwo”, jak też „świętość”. Bowiern, jak pisał Ricoeur, symbolizm zmaży „nurza się jeszcze w żywiole kosmicznym; 'zbrukane', 'uświęcone' i 'święte' są ze sobą powiązane siecią podziemnych odpowiedniości i zależności, które być może są nie do zatarcia.”¹¹ Charakterystyczna dla świata kultur archaicznych ambiwalencja zjawisk sakralnych przetrwała, jak zauważyli religioznawcy (i Tomasz Mann w *Wybrańcu*) do dzisiaj. Nadal, udowadnia Mircea Eliade, „To, co jest 'skalane', a więc 'poświęcone' odróżnia się w porządku ontologicznym od tego wszystkiego, co należy do sfery świeckiej”¹²; nadal jest równie niebezpieczne i wymagające specjalnego przygotowania rytualnego. Na przykładzie wyobrażeń, dotyczących ofiar AIDS widać to bardzo wyraźnie: w wizerunkach tych osób motyw wybrania, uświęcenia, wyniesienia wyraźna mitologizacja splata się z motywem skalania jako fizycznego zszargania i etycznego pohańbienia. Ujawnienie się tej ambiwalencji wymagało oczywiście trochę czasu i dokonało się wówczas dopiero, gdy AIDS osiągnął pełnię swego bytu w zbiorowej, symbolicznej wyobraźni.

By to zrozumieć, trzeba jednak cofnąć się aż do momentu narodzin jego mitologii. Nie możemy bowiem zapominać, że w świetle najwcześniejszej wersji mitu AIDS nie była to jeszcze choroba „nas wszystkich” ani choroba wybranych, lecz przypadłość dotykająca tylko i wyłącznie grzesznych, przeklętych obcych, marginesu społecznego: homoseksualistów, Haitińczyków, narkomanów, prostytutek, czarnych mieszkańców Afryki. Był wówczas AIDS jednoznacznym synonimem zła; zła zbiorowego, wymierzonego nie w jednostki, lecz w członków grupy ryzyka – tej, jak pisze Susan Sontag, „neutralnie brzmiącej, biurokratycznej kategorii, która ożywia archaiczną ideę skażonej i osądzonej choroby społeczności.”¹³ Wyczuwalna tutaj stara koncepcja zła jako zmaży, skalania, nieczystości odsłaniała jedynie swoje negatywne, „ciemne” oblicze.

Radykalny przełom w mitologii AIDS nastąpił w 1985 roku, gdy wraz ze śmiercią gwiazdy filmu, Rocka Hudsona, koncepcja zmaży odzyskiwać zaczęła zapomnianą ambiwalencję. „Rozgłoszona przez media jako dramat narodowy śmierć Rocka Hudsona wstrząsnęła Ameryką. Po raz pierwszy tragedia AIDS miała twarz. Twarz jednego z półbogów tego kraju”¹⁴ – czytamy u D. Lapierra; półbogów i bogów, parafrazując słowa Artura Droge’a¹⁵ z Katedry Nowego Testamentu przy Wydziale Teologii Uniwersytetu Chicagowskiego, przebranych za Rocka Hudsona, Freddy’ego Mercury, Earvin (Magic) Johnsona, za gwiazdy kultury masowej: filmu, muzyki i sportu. Poniżeni i wywyższeni, przeklęci i święci, mieszkańcy piekła i nieba kultury masowej pierwsi dotknięci zostali plagą AIDS; stali się w b r a n c a m i. Obok tematu zła pojawia się więc mitologia wyboru, która

pomaga złu odzyskać jego pierwotny, sakralny wymiar.

Sądzić więc można, że – podobnie jak inne plagi – sięga AIDS do wierzeń o wiele starszych niż wizja zarazy jako kary bożej; do wierzeń, dla których ta klasyczna już, teologiczna wykładnia jest tylko jedną z racjonalizacji. Do wierzeń, zakorzenionych w niewyczerpanych złożach poprzedzającej wszelką etykę kosmicznej sakralności. Nawet w języku naukowym zachował się ślad dawnych dynamicznych koncepcji, które, by zobrazować niezwykłą moc plagi, utożsamiały ją zazwyczaj z mocami ognia: pożarem, błyskawicą, iskrą¹⁶ (mówiono np. o „iskrze moru”). „Wszędzie tam, gdzie bieda i niski poziom życia społecznego naruszyły życie rodzinne, doprowadzają do licznych związków seksualnych, zakażenie HIV szerzy się jak pożar”¹⁷ – pisze Tadeusz Nasierowski.

Tajemniczy charakter i niewyjaśniona etiologia choroby sprawiły, że – jak w przypadku dawnych epidemii – mnożą się naukowe, popularne i religijne hipotezy oraz interpretacje. Na Haiti na przykład – według badań antropologa Paula Farmera¹⁸ – wierzenia ludowe, rdzennie haitańskie nakładają się na schemat wyjaśnień chrześcijańskich i medycznych, tworząc wraz z nimi spójny, choć dość paradoksalny obraz: AIDS przypisywane jest tu zarówno karze bożej za grzechy, jak też mikrobom oraz związanym z magią voodoo zaklęciom. Podobną wielość wyjaśnień zarazy odnajdujemy zresztą wszędzie.

„Zanim medycyna zamieniła się w technikę, w chwili narodzin wypowiadała chorobę i jednostkowe doświadczenie chorego. Analogicznie, od zarania kronik, historyk czynił z choroby jeden z obowiązujących ustępów swojej opowieści. Od Tucydysesa do Grzegorza z Tours i niezliczonych anonimowych *Opisań choroby...*, komentujących zarazy ery nowożytnej, podwójność (*pli*) jest zachowana; bez zdziwienia znajduje się ją w figurze, pod którą dzisiaj gazeta przedstawia epidemię czy fantazmat epidemii. We wszystkich owych tekstach widać podobne sekwencje. Aktor historyczny (głowa państwa, miasta, lud chrześcijański, naród) doznaje z zewnątrz (Bóg, Wschód, Żydzi) zła (kara, próba, pomsta), ale u siebie musi szukać nań lekarstwa (w pokucie, modlitwie, odosobnieniu, pogromie).”¹⁹ Podwójność ową da się zauważyć także w kulturowym wizerunku AIDS. Uruchamia on bowiem – powtórzmy raz jeszcze – najstarsze, związane z zarazą, plagą i epidemią sensory: zarówno symbolizm zmaży, jak też grzechu i winy, zarówno wyobrażenie plagi jako czegoś uderzającego, zsyłanego z wysoka, jako „tajemniczego napomnienia z zaświatów” (że przywołamy tutaj, za Rudolfem Otto, piękne, średniowieczne słowo *freit*²⁰), jak też czegoś, co rozgrywa się już na ziemi, pomiędzy ludźmi, co zaraża i magicznie kała.

Cały ten niezwykle skomplikowany system wierzeniowy szczelnie wypełniony jest ludowymi, popularnymi, teologicznymi i naukowymi interpretacjami. Weźmy na przykład klasyczną dla plagi teorię, która jej źródła upatrywać każe zawsze w sferze obcości, w symbolicznym kręgu innego świata (niezależnie od tego, czy jest to sfera obcości w obrębie naszego uniwersum, czy też kryjąca się pod obrazami odległych i egzotycznych krain). Jej przejawem może być choćby ta popularna spiskowa teoria świata która Amerykanów skłaniała do szukania ojczyzny AIDS na Haiti, a Haitińczyków – do wywodzenia jej z laboratoriów Fort Derrick w stanie Maryland.

Dziennikarz „Litieraturnej Gaziety” przypisuje wyprodukowanie wirusa HIV zjednoczonym siłom Pentagonu i CIA, a redaktorzy skandynawskiego magazynu erotycznego „Playstar” diabelskiemu tandemu Bush – Honecker. „Porządni” obywatele Stanów Zjednoczonych oskarżają

swoich „wewnętrznych” obcych – homoseksualistów, a znany amerykański działacz gejowski i pisarz Larry Kramer o świadome i celowe posunięcia przeciw gejom obwinia Busha i Reagana: „W kontekście AIDS można je postawić na równi z postępowaniem Hitlera wobec Żydów.”²¹ Sontag zwraca z kolei uwagę na szeroko rozpowszechnione wierzenie, że korzeni AIDS szukać trzeba na Czarnym Łądzie, a w samej chorobie upatrywać kolejne nawiedzenie z Trzeciego Świata, kolejną plagę „smutku tropików”.

Język dyskursów medycznych nie pozostaje tu w tyle za myśleniem potocznym. Przytaczając hipotezy mówiące, że istnieje możliwość pierwotnego zarażenia człowieka przez małpę, Sontag podkreśla istnienie i aktualność starego ciągu skojarzeń, które popularne wyobrażenie Murzyna łączy z wyobrażeniem zwierzęcości i seksualnego rozpasania. „Ostatnie badania dowodzą – pisze, jakby ilustrując tę tezę już cytowany Antonio – że AIDS rozpoczął swą śmiertelną podróż po trasie ludzkiej gdzieś w Afryce. Znalezione go w ciele koczodana, małpy żyjącej na tym kontynencie, a bardzo podobny wirus zidentyfikowano w ciele afrykańskiej odmiany owcy. Drogi pierwszego zakażenia nie są do końca jasne. Przypuszcza się, że mogło do niego dojść w wyniku ukąszeń, jedzenia zakażonego mięsa lub współżycia seksualnego z tymi zwierzętami.”²² Czy trzeba dodawać, że i Afrykańczycy nie pozostali dłużni i szybko odwdzięczyli się Amerykanom wiarą w amerykańskie pochodzenie choroby, będącej elementem szeroko zakrojonego planu wojny biologicznej...

* * *

Jednym z obrazów, w które wciela się moc plagi, jest obraz wirusa; to jego mitologia w dużym stopniu decyduje o żywotności plagowej metafory AIDS. Badania nad wirusologią ludową, czy też popularną, i nad związanymi z nią obyczajami językowymi w tekstach stricte naukowych wciąż stoją otworem. „Mimo że o wirusach ogromnie dużo rozprawiamy – pisze Zofia Kuratowska – i to nie tylko my, lekarze, lecz także ludzie innych zawodów, wiedza o tych dziwnych tworach nie jest zbyt rozpowszechniona. Tak naprawdę dla zwykłego człowieka (a nawet dla zwykłego lekarza) wirusy pozostają właściwie czymś mitycznym.”²³ Jeśli sięgniemy, za Kuratowską, do przytoczonej przez Władysława Kopalińskiego etymologii tego pojęcia dowiemy się, iż wirus w języku łacińskim oznaczał jad, śluz, smród. „W późniejszej łacinie *virulentia* to także ‘zakażenie’. W żargonie lekarskim przywykliśmy przez słowo ‘wirulentny’ rozumieć zjadliwy lub złośliwy zarazek.”²⁴ W wirusie można zatem widzieć samą kwintesencję nieczystości, kwintesencję czegoś zarażającego, kalającego, brudzącego.

Nawet dzisiaj jeszcze, i to w tekstach naukowych i popularnonaukowych, traktujących o wirusie, posłyszec możemy echa starej epidemiologicznej koncepcji Marcusa Terentiusa Varro (116–27 p.n.e.). Dla lepszego zobrazowania idei zarażenia powołał on do życia niewidzialne istoty, maleńkie żyjątka, które, niewidoczne dla oka, przedostawały się do organizmu człowieka przez usta i nos. Zamieszkiwały owe istoty, zgodnie z wcześniejszą jeszcze, miazmatyczną teorią Hipokratesa, miejsca najszybsze, wilgotne i bagniste. I trzeba przyznać, że nawet nauka, nie mówiąc już o wiedzy ludowej, doskonale przechowała tajemniczą aurę, otaczającą owych posłańców zarazy. Czytamy na przykład u Kuratowskiej: „Trzeba powiedzieć, że są to twory nader dziwne. Nieprzypadkowo użyte tu zostało słowo ‘twory’. Wirusy bowiem nie są komórkami, nie należą ani do świata roślinnego, ani do świata zwierzęcego, jak na przykład pierwotniaki. Zachodzi pytanie, czy w ogóle można je zaliczyć do organizmów żywych?”²⁵ Kuratowska zwróciła tu uwagę na szcze-

gólną cechę wirusa – na jego medialność. Wirus, pisze też Wiktor Osiatyński, znajduje się dokładnie na granicy między tym, co żywe, i tym, co martwe.²⁶ Mediacyjny charakter (nie należą ani do świata roślinnego, ani do zwierzęcego, nie są ani martwe ani żywe) doskonale predystynuje te stworzenia do rangi tajemniczych wysłanników z zaświatów.

Nie bez przyczyny zatem mitologia popularna przedstawia wirusa jako „najbardziej zażartego wroga boskiego stworzenia”. Cytowany już wcześniej Lapiere pisze: „Jak świat światem wirusy – te miniaturowe, śmiertcionośne cząsteczki unicestwiały więcej ludzi, zwierząt i roślin niż wszystkie kłeski naturalne i konflikty historyczne razem wzięte.”²⁷ Przypomina on wręcz krwiożerczego wampira: „Niezdolne rozmnażać się samodzielnie, potrzebują one do przeżycia współdziałania komórek, które atakują. Kusi je wszystko, co żyje; żadna komórka nie uchroni się przed ich zachłannością.”²⁸ Wirusowi AIDS przypisywana jest moc szczególnie potężna i niszcząca (powszechnie nazywa się go „mordercą”), co dr. Anthony Fauci, szef amerykańskiego Instytutu Chorób Alergicznych i Zakaźnych wyraził słowami: „Nie można sobie wyobrazić bardziej szatańskiego wirusa niż ten. Atakuje i niszczy właśnie te komórki, które właściwie powinny chronić nas przed wirusami.”²⁹

Sontag uważa, że jeśli metafora plagi ma jeszcze przyszłość, to tylko dzięki pojęciu wirusa. We współczesnym doświadczeniu świata wirusologiczna metaforyka odgrywa niezwykle istotną rolę. Nie tracąc bowiem swej mrocznej tajemnicy, odsłaniają wirusy coraz to nowe szczegóły swego charakteru. Okazało się, na przykład, że nie są jedynie czynnikiem zakażenia; mogą również przenosić informację genetyczną. Okazało się, że potrafią mutować. Te właśnie cechy sprawiły, że wirusy hojnie użyczają dzisiaj swej metaforyki światu pozamedycznym, raz jeszcze występując w roli mediatorów. Są doskonałym łącznikiem na przykład pomiędzy światem komputerów a światem najnowszej i jak sam wirus zmiennej choroby, wpisując tym samym AIDS w szeroki kontekst naszej współczesności; nowymi treściami, odwołującymi się do pojęcia nieprzewidywalności, zmienności, podstępności wzbogacają stare lęki.

* * *

Wracając jeszcze do archaicznej koncepcji zmy, to o jej obecności w mieście AIDS może również świadczyć fakt, iż niezwykle żywy jest w nim system wyobrażeń, związanych z symboliką kalającego kontaktu. W nosicielu wirusa HIV demonizm wcielił się w stopniu nie mniejszym niż w niedysyjsze ofiary dżumy i cholery. Trudno, zaiste, przekonać społeczeństwo, że drogi zakażenia są ściśle określone, skoro panuje powszechne, głęboko zakorzenione przekonanie, iż zarazić się można nie tylko przez stosunek seksualny czy transfuzję, ale również przez przedmioty, dotknięcie osoby chorej, samą jej bliskość a nawet spojrzenie. „Na ulicy coraz niżej spuszczałam głowę. Nie śmiałam spojrzeć na ludzi, tak jakby wzrok mógł ich zarazić”³⁰ – mówi bohaterka reportażu w „Twoim Stylu”. Rozmaite, naukowe nawet i paranaukowe pisma prześcigają się w wynajdywaniu najmniej prawdopodobnych dróg zakażenia. Magazyn „Lancet” w 1986 roku opublikował na przykład artykuł, poświęcony możliwości zarażenia przez używanie wspólnego płynu do płukania szkieł kontaktowych, a jeszcze inne pismo zastanawia się, czy cebula, do której kapnęła łza chorego kucharza, albo bar sałatkowy, nad którym kichnął nosiciel wirusa mogą stać się poważnym i realnym źródłem zarazy. A chociaż to nosiciele i chorzy budzą największą grozę, ludzie boją się także zmarłych na AIDS. „Na trumnie młodego człowieka, zmarłego w zachodniobrzeńskim szpitalu-

lu im. Rudolfa Virchowa, jeden z posługaczy z kostnicy napisał wielkimi literami AIDS. Trumnę przewieziono do małego miasteczka w Niemczech Zachodnich, gdzie mieszka matka zmarłego. Nikt z sąsiadów nie przyszedł na pogrzeb³¹ – czytamy w „Der Spiegel”. Śmierć „na zarazę” zawsze była szczególnie kalająca; rzeczywistość związana z sacrum zawsze szczególnie niebezpieczna dla profanów. „(...) prastare zakazy dziedziczy się jak chorobę³² – napisał, powołując się na Freuda, van der Leeuw. Pod na wskroś współczesnymi, racjonalnymi uzasadnieniami nietrudno odkryć pradawne warstwy mitu.

Na niezwykle istotną rzecz zwróciła uwagę Sontag: oto czynnikiem decydującym o związanym z AIDS wyobrażeniach nieczystości jest seks. „Pojawienie się nowej epidemii o rozmiarach katastrofy – pisze ona – (...) nie wystarczyłoby moralistom do określenia jej mianem kary bożej. Potrzebne było jeszcze i to, by najczęstszą drogą zakażenia był seks.”³³ W innym zaś miejscu Sontag pisze: „Seksualny sposób transmisji choroby, uważanej przez większość ludzi za nieszczęście, ściągane na siebie dobrowolnie, osądzany jest o wiele surowiej niż inne drogi zakażenia; tym bardziej, że AIDS uważany jest za chorobę, związaną nie tylko z ekscytemi seksualnymi, ale również z ich perwersyjnym charakterem. (...) Zarażenie się chorobą na drodze stosunków seksualnych uważane jest za bardziej dobrowolne, a zatem zasługujące na większe potępienie. (...) Zakaźne choroby, zawinione przez seks, zawsze wywołują obawę dużej zaraźliwości i dziwaczne fantazje na temat transmisji choroby w miejscach publicznych drogą pozapłciową.”³⁴ Przypomnijmy: płyn do płukania szkieł kontaktowych, łza kucharz na krojonej przy nim cebuli...

Sontag uważa, że te właśnie cechy wyraźnie łączą AIDS z syfilisem, Tadeusz Komendant zaś, który o podobnych sprawach pisze na łamach „Twórczości”, uważa AIDS za pierwszą w dziejach chorobę, w obrazie której seks tak wyraźnie skojarzony jest ze śmiercią – według niego nawet syfilis nie miał tak mocnej konotacji.³⁵ Ich rozumowanie celnie wydobyla dominujący w zmityzowanym wizerunku AIDS motyw skalania seksualnego.

Ponownie odwołujemy się do rozważań Paula Ricoeura. Pisze on: „Uderzające jest, jaką doniosłość i powagę przypisuje się w ekonomii zmyślenia łamaniu zakazów o charakterze seksualnym: zakaz kazirodztwa, sodomii, usuwania płodu, stosunków płciowych w czasie a nieraz w miejscu zabronionym jest tak fundamentalny, że nic lepiej nie charakteryzuje systemu zmyślenia, jak to rozdęcie spraw seksualnych tak dalece, że współnictwo zadziergnięte między seksualnością a zmyśleniem wydaje się istnieć od niepamiętnych czasów.”³⁶ Skalanie seksualne pojmowane jest przy tym jako nieczystość najwyższego stopnia, w pewnym sensie nieczystość wzorcowa, podobnie zresztą jak skalanie wskutek zetknięcia z przelaną w czasie zabójstwa krwią, które także wcześniejsze jest od wszelkiej etyki, sięgając korzeniami do archaicznej koncepcji zmyślenia. W tych właśnie dwóch rodzajach skażeń w najwyraźniejszej formie uwidacznia się pierwotny, dosłowny, fizyczny charakter nieczystości. „Porównanie między stosunkami seksualnymi a zabójstwem jest oparte na tej samej grze obrazów: w obu przypadkach nieczystość wiąże się z obecnością 'czegoś' materialnego, co się przenosi przez kontakt i zarażenie.”³⁷ W centrum tego symbolizmu znajdują się sperma i krew – dwie wydzieliny, które odgrywają najistotniejszą rolę także w przekazywaniu wirusa HIV i w mitologii zarazy.

Oto nasienie, sperma – dające życie, lecz teraz niebezpieczne, kalające, niosące śmierć. Oto krew – symbol oczyszczenia, ofiary i odkupienia, ale także wojny, morderstwa

i pożywienia zmarłych. Ukryta w ciele wyobraża siedlisko życia i duszy, wylana na zewnątrz – śmierć. „Leżał, moja miłość i mój mąż, leżał w swojej krwi, w tej niebezpiecznej, czerwonej krwi, oznaczającej życie i śmierć i bardzo powoli umierał”³⁸ – mówi Josef w swojej autobiograficznej książce *Przekwitający mak. AIDS – ostatnie miesiące pewnej miłości*. Miarą symbolicznej mocy AIDS może być właśnie ta jego zdolność przywoływania archaicznych sensów obrazów, w których objawia się w sposób najpełniejszy cała ich antynomiczność. To, co zazwyczaj oznacza życie – krew czy wydzieliny seksualne – teraz, w kontekście plagi AIDS, stało się także (jak przyjęło się już mówić) „darem śmierci”, przypominając w ten sposób o swej prawdziwej, ambiwalentnej naturze.

Istotę nieczystości najpełniej odsłaniają rytmy oczyszczenia, które dziś nawet, pod maską racjonalnych działań sanitarnych, kryją zachowania o charakterze wyraźnie magicznym. Właśnie w ich świetle najjaśniej widać, iż materialna nieczystość spermy i krwi jest jednak także nieczystością symboliczną; że każda zmyślenie, jak pisał Ricoeur, jest zawsze czymś więcej niż tylko plamą – jest plamą symboliczną. Aspekt czysto fizyczny, materialny nieodłączny jest w tych wyobrażeniach od aspektu duchowego, moralnego, etycznego.

„Przedstawienie zmyślenia utrzymuje się w światłocieniu quasi-fizycznego zakażenia, które zbliża się do quasi-moralnej niegodziwości. Ta dwuznaczność nie jest wyrażona pojęciowo, lecz jest przeżywana w sposób intencjonalny poprzez na poły fizyczny, na poły zaś etyczny lęk przynależny przedstawieniom nieczystości.

Jeśli jednak symbolicznej struktury zmyślenia nie oddaje ani refleksja, ani przedstawienie, to przynajmniej jest ona obecna w działaniu; można ją uchwycić w obrzędach oczyszczających i od aktu usuwającego przejść do 'rzeczy' usuniętej.”³⁹

W przytaczanych przez Paula Farmera wierzeniach na temat roznoszących zarazę Haitańczyków pojęcie nieczystości, oznaczające zarażoną, importowaną do Stanów haitańską krew w rzeczywistości od samego początku odnosiło się także do kalającej „haitańskości” w ogóle jako źródła zarazy: pod hasłem oczyszczenia banków krwi cytelną jest o wiele głębsze pragnienie oczyszczenia świata ze skażonej populacji. A ci, którzy w Głoskowie, Laskach czy Józefowie krzyczeli, że nie chcą u siebie tej „ludzkiej padliny”, którzy grozili podpaleniem, czy nie sięgali podświadomie do tych samych starych pokładów wierzeniowych, w myśl których bliskość śmierci – zwłaszcza „takiej” śmierci – kala? Do wizji oczyszczającego palenia, topienia, wywożenia zarazy, izolowania jej – jeśli musi istnieć, niech istnieje, ale tylko gdzieś bardzo daleko? Jak głosiło stare epidemiologiczne zarządzenie: „w tak wykrojonym polu 'zgnilizna winna ustalić się i wyczerpać swą moc’...”⁴⁰ „W ten sposób symbolika obrzędów usuwających ujawnia w sposób praktyczny ukryty symbolizm, zawarty w przedstawieniu skażenia.”⁴¹

Skalanie, pisze Ricoeur, nie istnieje w sposób absolutny, niezależny od ludzkiej percepcji. Powstaje w kręgu ustanawiającego je prawa, wypowiadających je słów, oceniających spojrzeń. To słowa i spojrzenia każą czuć się skalaną bohaterce cytowanego reportażu. To określenie „padlina” zamyka nosicieli wirusa w kręgu symboliki nieczystości i każe odprawiać rytmy oczyszczenia. Dalekim pogłosem tych starych spraw mogą być rozważania tych specjalistów od profilaktyki AIDS, którzy uważają, że „wiele nieporozumień wynika z nieprecyzyjności powszechnie używanego języka. Za największe nadużycie uznano określenie 'dżuma XX wieku’, co sugeruje – w niezgodzie z faktami – że AIDS działa jak średniowieczny pomór, przed którym nie ma żadnego

ratunku. Z pomorem kojarzy się 'zarażenie', więc specjaliści sugerują używanie terminu 'zakażenie'.⁴² Trudno mieć jednak nadzieję na szybką zmianę języka, a tym bardziej kryjącej się za nim wizji świata; zwłaszcza, że religijne i etymologiczne rdzenie „zarażenia” i „zakażenia” wydają się niepokojąco podobne, jeśli nie wręcz tożsame...

W kręgu wyobrażenia zmywa nieczystości mieści się również stara epidemiologiczna teoria Hipokratesa, zgodnie z którą siedliskiem choroby są miejsca bagienne i wodniste, z których unoszą się zanieczyszczające atmosferę gnilne opary-miazmaty. Hipoteza ta, pomimo odkryć Kocha, Pasteura i całej późniejszej medycyny przetrwała jednak do dzisiaj. W literaturze pięknej a także tradycji ludowej napotykałyśmy często na utrzymane w aurze dżdżu, wilgoci i mgły opisy „morowej krainy”. Teoria Hipokratesa przechowała się również, jak to błyskotliwie wykazała Sontag⁴³, w takim choćby, charakterystycznym dla XIX wieku, ale żywym przecież i współcześnie potocznym wyobrażeniu choroby, które jej opis – stan organicznego rozkładu – całkowicie utożsamia z przyczyną: nieczystą, pełną wyziewów atmosferą. Pojęcie nieczystości, gnicia, rozkładu sięga tu z jednej strony typowo miejskich scenerii szmiedników, cuchnących kanałów, wilgotnych izb oraz zagrażających swą bliskością cmentarzy, z drugiej zaś – fizycznego rozkładu ciała chorej osoby (teoria miazmy szczególnie trwała wydaje się być w wyjaśnianiu etiologii gruźlicy).

Tak oto. w imaginariu choroby, stara idea „solidarności kosmobiologicznej”, jak nazywa Mircea Eliade owe magiczne nici sympatii łączące człowieka z otaczającym go światem, znalazła przewrotny sposób, by bezpiecznie dotrzeć do naszych czasów. I nie tylko dotrzeć, ale także wzbogacić chorobę o wymiar moralny. Bo trudno zaprzeczyć, że ów ciąg skojarzeń obejmuje współcześnie także metaforę zgnilizny wewnętrznej, zepsucia moralnego, których doskonałym odzwierciedleniem staje się degeneracja fizyczna. „Średniowiecze miało dżumę – wygasła ona dopiero wtedy, kiedy zaczęto masowo budować domy z kamienia i szczonego domowego na dużych obszarach wyparł szczonego wędrownym. Ostatnie stulecie było stuleciem cholery – brutalny kapitalizm rodem z Manchesteru właczał proletariuszy do jak najmniejszych pomieszczeń, lekceważąc wszelkie zasady higieny. A teraz właśnie AIDS, albowiem AIDS (...) ujawnia całe zepsucie współczesnego społeczeństwa”⁴⁴ – czytamy w cytowanym już artykule w „Der Spiegel”. W rozumowaniu tym z łatwością rozpoznajemy dzisiejszą, zmodyfikowaną wersję starej teorii miazmy, z charakterystycznym dla niej zacieraniem granicy pomiędzy światem zewnętrznym i wewnętrznym, pomiędzy fizyką i fizjologią a moralnością, pomiędzy przyczyną i skutkiem choroby. Jednostka roztopia się w społeczeństwie, mikrokosmos przegłąda się w makrokosmosie. I na odwrót: w chorym człowieku świat rozpoznaje swoje największe bóleczki, dostrzega swój upadek. Człowiek i świat, obraz zepsucia moralnego i odrażającej, fizycznej degeneracji całego organizmu stają się dla siebie nawzajem przejrzystym lustrem. A powstałe w nim odbicie urasta w potocznej świadomości do rangi metafory aktualnej ludzkiej kondycji. Hamburgski profesor higieny, Stefan Winkler, wyraził to przeświadczenie słowami: „każde społeczeństwo ma takie zarazy, na jakie zasługuje.”⁴⁵

Bowiem rozkład i gnienie mają tu wymiar tyleż dosłowny co symboliczny, sięgający najgłębszego wnętrza człowieka i świata, ich relacji z sacrum. Są stygmatem, znakiem, piętnem choroby, symbolem zepsucia – ale symbolem pełnym ambiwalencji. Śmierć na AIDS, ta powolna, postępująca degeneracja całego organizmu, włącznie z władzami psychicznymi i umysłowymi, przywodzi na myśl przed-

stawienia średniowiecznej sztuki *macabre*; taki też jest jej kulturowy wizerunek. „Wielu pacjentów traci kontrolę nad umysłem i ciałem – czytamy u Antonio – aż do niemożności panowania nad funkcjami fizjologicznymi, kiedy wirus rozwija się w ich układzie nerwowym. Dramatycznie chudną i słabną. Wielu traci wzrok. Niemożliwy do uśmierzenia, straszliwy ból zmienia ich życie w męczernię.”⁴⁶ Amerykański socjolog, Anthony Coxon, pisał: „Jest to śmierć wczesna i to tak potworna i bolesna, że przerasta to najbardziej ponure wyobrażenia średniowiecznego piekła.”⁴⁷ A Osiatyński: „Amerykanie się boją. Ale trudno im się dziwić. Mają się czego bać. Bo przecież umiera się w bólach, powoli, ze stopniowym zjadaniem organizmu przez drobnoustroje. Czasem umiera się ze straszliwym uczuciem zimna, przy stałej utracie wagi i siły, gdy jedynymi czynnościami, do jakich zdolny jest organizm, są biegunka i wymioty. Często umierając idiotycznie się, gdy postępuje utrata pamięci, śmierć atakowanych przez wirusa komórek, nieodwracalna demencja mózgu.”⁴⁸ Nic dziwnego, że pewna nie bawiąca się w subtelności amerykańska gazeta nazwała chorych na AIDS, obrazowo i wymownie, „nieboszczykami na urlopie”.

W tym rozkładzie ciała uczestniczy także twarz; twarz która, na równi z ciałem, odbija kolejne etapy degeneracji całego organizmu aż do jego ostatecznego upadku. Może nawet więcej: skupia w sobie całą udrękę konania. Susan Sontag z tego właśnie względu zalicza AIDS, obok trądu i syfilisu, do chorób najstraszniejszych; w pewnym sensie ostatecznych. Takich, które znoszą fundamentalną, zakorzoną również w chrześcijańskiej tradycji ikonograficznej pozycję pomiędzy twarzą i ciałem. W cierpieniach świętych twarz nigdy nie bierze udziału, cierpi tylko w Pasji Chrystusa, i to cierpienie uwidocznione na obliczu jest symbolem najwyższego cierpienia człowieka. Poprzez cierpienie twarzy tajemnica konania na AIDS dotyka w jakiś paradoksalny sposób tajemnicy konania na Krzyżu – przybliża je, aktualizuje, odtwarza; w zaludniających ulice miast skulonych, zebranych postaciach dostrzec pozwala wyobrażenia jakiejś współczesnej, XX-wiecznej Pasji. Wyobrażenia które, poprzez całą degradującą fizyczność choroby i samotność umierania prowadzić nas mogą także w stronę symboliki Odkupienia.

Czy taką śmierć można zestetyzować? – pyta w artykule *AIDS i esteta*⁴⁹ Umberto Eco. Czy śmierć na AIDS ma szansę być wzniosłą, patetyczną i romantyczną? Czy może budzić tęsknotę jak gruźlica i jak syfilis, głęboko, wstydliwie skrywane marzenia?

Sontag daje odpowiedź zdecydowanie odmowną. AIDS, tak jak rak, nie dopuszcza możliwości jakiegokolwiek romantyzacji śmierci, gdyż jest ona po prostu zbyt bliska. I – tak jak rak – stał się modelowym przykładem poczucie beznadziejności i klęski. A jednak możemy przypuszczać, że nadzieja jest dla ludzi czymś na tyle cennym, że trudno będzie pogodzić się z pochowaniem jej wraz z milionami zmarłych. Być może dla pełnej mityzacji – romantyzacji, sentymentalizacji – AIDS potrzeba tylko trochę więcej czasu, tak, byśmy nauczyli się z nim żyć, byśmy choć trochę go oswoili.

Nieco podobnie myśli Eco. Według niego wszystkim wielkim, symbolicznym chorobom towarzyszyła zawsze romantyczna dialektyka człowieka moralnego i człowieka estetycznego. „Kiedy wielkimi zagrożeniami były gruźlica i syfilis, mieliśmy dwa wzorce zachowania. Z jednej strony wzorzec, który nazwiemy wiktoriańskim, z mężem surowym, pruderyjną żoną, wyklęciem cudzołóstwa, rozwiązłością traktowaną jako degeneracja, a homoseksualizmem, biseksualizmem czy obojnactwem jako tabu. Ale obok tego rozwinął się wzorzec estetyczny. Nie tylko jako wzorzec życia

nieuregulowanego, połączonego ściśle z geniuszem, ale wręcz jako triumf choroby jako twórczego bodźca.”⁵⁰

AIDS w znaczący sposób nawiązuje zarówno do mitologii syfilisu jak też do mitologii gruźlicy. Jest, jak ten pierwszy, chorobą miłości, podobnie do tej drugiej zaś wyniszcza organizm wskutek braku powściągliwości (bo trzeba tu zaznaczyć, że wykreowane wokół gruźlicy fantazmaty łączą się z takim właśnie jej wyobrażeniem: jako choroby, obdarzającej jej nosiciela nadnaturalnym darem uwodzenia, choroby seksualnego nieumiarkowania i gorączkowej, destrukcyjnej euforii). Pojawił się na scenie w przestrzeni opuszczonej przez te choroby, w przestrzeni seksualnej swobody, w scenerii rockowego koncertu z jego biseksualnym, androgynicznym ideałem piękności. Co będzie dalej? Czy zwycięży człowiek moralny, solidny, wierny i monogamiczny partner, czy też raczej odziedziczy AIDS, po gruźlicy i syfilisie, miejsce twórczej choroby, choroby celebrowanej jako warunek estetyki i zarazem estetyczny kanon? We wzorzec życia estetycznego rozwinęły się już przecież, równoległe do AIDS, neurozy, narkomania i homoseksualizm – różne formy twórczego cierpienia, związanego z trudnym wyborem i społecznym napiętnowaniem. „Aura tajemniczości i niezwykłości, otaczająca porażenie postępujące, powoli przechodzi na zaburzenia psychiczne, występujące w przebiegu AIDS – uważa Tadeusz Nasierowski. – O ile szaleństwo F. Nietzschego, G. de Maupassanta i wielu innych twórców chorych na porażenie postępujące jest już tylko historią, to śmierć chorych na AIDS, Foucaulta i Mercury’ego, której byliśmy świadkami, jest wciąż żywym wspomnieniem, wnoszącym w życie wielu osób uczucie metafizycznego niepokoju.”⁵¹ Rak nie wybiera, pisze Eco, zatem rak z tego choćby względu nie może być przykładem choroby estetycznej. Co do AIDS zaś, to „choroba wynikająca z rozpasania jest wyborem, a zatem ma wszelkie tytuły, aby symbolizować stan bohaterski.”⁵² Włoski filozof przewiduje więc jednak powrót do romantycznej dialektyki pomiędzy człowiekiem moralnym i człowiekiem estetycznym; co więcej przewiduje – prędzej czy później – narodziny sztuki, którą ów widoczny na obliczu „brak odporności” podniesie do rangi symboli i uczyni swym centralnym przedstawieniem – wniosłem i tragicznym.

Tutaj uczynić musimy pewne zastrzeżenie, mając na względzie to, co powiedziane zostało wcześniej. Eco mógł pisać, że AIDS jest chorobą wynikającą z rozpasania, chorobą, o którą trzeba się postarać, chorobą, którą się wybiera i która wybiera bo, jak już wiemy, przez długi czas w potocznej świadomości utrzymywało się takie właśnie przekonanie. O tym, że – jak w przypadku klasycznych plag – jest to klęska, która dotknąć może każdego z nas dowiedziano się stosunkowo późno i wówczas dopiero do mitologii wyboru doszedł temat nowy, choć jednocześnie stary jak sama plaga: temat powszechności śmierci, jej absurdalnej przypadkowości. Bo AIDS jest jak wirus: ciągle mutuje i w jego micie wyraźnie dostrzec możemy kolejne etapy krystalizacji albo też, mówiąc inaczej, różne, nakładające się na siebie warstwy. Pierwsza, najwcześniejsza mówi, że chorują tylko winni, obcy, grzeszni – tu wybór równoznaczny jest z osądem. Następna, gdy uświadomiono sobie, że chorują także „bogowie” odsłania całą ambiwalencję skalania; wreszcie trzecia, ostatnia uwrażliwia na fakt, że w rzeczywistości zaraza dotyka wszystkich bez wyjątku. I w tej chwili najciekawsze jest chyba to, czy któraś z nich okaże się najtrwalsza i wyciśnie na micie najwyraźniejsze piętno.

O tym, że pomimo wszystko śmierć na AIDS może pretendować do miana romantycznej śmierci z miłości, a sam AIDS do miana choroby miłości, choroby namiętności

przekonuje nas bogata już, powstała na ten temat literatura i filmy (choćby tak głośno ostatnio *Dziki noc* C. Collarda). Posłuchajmy raz jeszcze wyznań Josefa, oplakującego swojego zmarłego w wieku 32 lat kochanka: „Teraz nie żyjesz, jesteś całkiem martwy. A ja sam, zupełnie sam na świecie. Mój mąż, moja miłość nie żyje. Minęło, skończyło się. Leżysz tu martwy w swojej krwi, jak przekwitający mak. Kwitłeś intensywnie i cudownie. Teraz leżysz, zmarły młodo, we krwi, jak mak, który umiera zaraz po osiągnięciu szczytu swojej urody.”⁵³

„Przekwitający mak”... metafora, która coś nam przypomina. Choćby ten wiersz z początków XVII wieku:

Jako kwiat z ziemi idzie, a potem zaś starty

Bywa od bestyj niemych i jak nic pożarty.

Tak też czło wie k kwia t piękny, gdy we świat wynika
Bywa zgniecion od śmierci, by nic tedyż wznika.⁵⁴

Albo też inne, barokowe skojarzenia człowieka z cieniem na wodzie, bańką z piany, dymem i rozwianym na niebie obłokiem. Oczywiście, w przypadku AIDS metafory te mogą odnosić się tylko do krótkości życia, a nie nagłości kończącej je śmierci. Ale też trzeba podkreślić, że życie to jest krótkie na miarę rzadko od dziesiątków lat spotykana. Tak młoda śmierć również sprzyja wytworzeniu się wokół niej tragicznej, bohaterskiej aury. „Kwitłeś intensywnie i cudownie”: krótkie, frenetyczne, samospalające się życie i długie umiarnie. Śmierć jest tu logiczną, oczywistą i nieubłaganą konsekwencją życia. Jak u Erazma z Rotterdamu: „taka będzie śmierć, jakie było nasze życie”. I choć kwitnie *ars bene vivendi*, choć wielu lekarzy, moralistów i teologów nawołuje do dobrego, cnotliwego, umiarkowanego życia, mitologia AIDS koncentruje się w dużej mierze wokół czegoś, co moglibyśmy nazwać etosem młodej, samobójczej śmierci, etosem cierpienia i tragicznej śmierci z wyboru. Jak w łaźniach San Francisco: „anonimowy romans ze śmiercią, rosyjska ruletka”⁵⁵.

Intelektualnymi środowiskami Francji i Stanów wstrząsnęła nie tyle śmierć na AIDS Michela Foucault, który nigdy przecież nie ukrywał swego homoseksualizmu, ile trzy wydane na jego temat książki. Autor jednej z nich, pod znamienym tytułem *The Passion of Michel Foucault*, James Miller wywołał burzę podejrzeniem, iż jego bohater, świadom swej choroby, równie świadomie zarażał innych. W pewien sposób potwierdza to tytuł drugiej książki – powieściowej, zbeletryzowanej wersji ostatnich miesięcy życia filozofa – *Do przyjaciela, który nie uratował mi życia* Hervé Guiberta. Ich zdaniem Foucault był wyznawcą takiego właśnie etosu – etosu, który zaowocował zupełnie nowym rodzajem wspólnoty: „to czyhające na każdym kroku niebezpieczeństwo stworzyło nowe powinowactwa, nową czułość, nową solidarność – czytamy u Guiberta. – Wcześniej wszystko odbywało się w milczeniu, teraz ze sobą rozmawiamy. Wszyscy doskonale wiemy, po co przychodzimy do łaźni.”⁵⁶

Jak na starych malowidłach, przedstawiających motywy Tańca Śmierci zmarli tańczą tu z jeszcze żywymi, którzy zdecydowali się na to zupełnie świadomie, powodowani ową tragiczną solidarnością, owym poczuciem powinowactwa i czułością. Jak Bergmanowski Rycerz podejmujący ryzyko gry. Ale w bogatym (już) imaginarium AIDS napotykały także na inne, bardziej do klasycznych zbliżone Tańce Śmierci; Tańce, wyrażające tę ostatnią, najpóźniejszą warstwę mitu AIDS, w których biorą udział wszyscy, niezależnie od swej woli, trybu życia, moralności, zawodu, bogactwa i wieku.

Ta śmierć nie przyjmuje żadnych łapówek, nie zna klasowych uprzedzeń, niweczy wszelką kastowość. Nie uznaje też granic geograficznych. Taneczny korowód łączy ze sobą ludzi różnych narodowości, krajów, kontynentów. Bo AIDS

jest w pewnym sensie odpowiedzią na współczesną kondycję człowieka, którego Zygmunt Bauman nader trafnie nazwał włóczęgą, wagabundą, turystą.⁵⁷ AIDS stał się nieodłącznym towarzyszem tych wędrowców. Towarzyszy afrykańskim przemytnikom, wędrującym od burdelu do burdelu i amerykańskim biznesmenom, podróżującym od hotelu do hotelu. Tworzy nową wspólnotę – wspólnotę ludzi, którzy wcale nie muszą być jej świadomi: łączy ich wirus. Seks, pisze Susan Sontag, „nie może być już dłużej uważany za sprawę dwojga ludzi; jest to łańcuch, sięgający w przeszłość łańcuch transmisji”⁵⁸. A nosicielka Mary Fisher dodaje: „Chciałabym, aby kobiety, śpiąc z mężczyzną zdały sobie sprawę, że są w łóżku nie tylko z kimś, kogo dobrze znają. Ale również ze wszystkim, co zdarzyło mu się w życiu. Zwłaszcza w ciągu ostatnich dziesięciu lat.”⁵⁹

Tak. AIDS niektórych wybiera, inni jednak stają się jego ofiarą w sposób absurdalny i przypadkowy. Jesteś po prostu jednym z ogniw długiego łańcucha – to wszystko. Taka właśnie figura coraz głębiej zakorzenia się w potocznej wyobraźni. Sprzyjają temu również liczne zachęty i napo-

mnienia by zabawić się w detektywów, śledzących przeszłość własną i partnera i odtworzyć kształt tej swoistej, niechcianej wspólnoty. To wszystko, pomnożone przez wiarę w niebezpieczny, demoniczny wręcz charakter chorych rodzi tak dobrze z dawnych czasów znane podania o ludziach, którzy nosząc w sobie śmierć starają się zarazić jak największą liczbę osób. Niczym Szkarłatna Śmierć z opowiadania Edgara Allana Poe wdzierają się ukradkiem do cudzego domu i życia. Nikt nie może już czuć się bezpieczny. Stare lęki znalazły swe doskonałe, współczesne wcielenie. „Tu i ówdzie słyszy się chorych, którzy mówią: 'Skoro już mam umrzeć, zabiorę ze sobą tylu ludzi, ilu tylko mogę'”⁶⁰ – czytamy u Antonio, choć równie dobrze mógłby napisać to którykolwiek z kronikarzy dawnych plag: Defoe, Pepys albo Boccaccio. A Ph. Boggio w artykule poświęconym AIDS w Kinszasie przytacza historię pewnego wysoko postawionego urzędnika, który, umierając, zostawił w testamencie nazwiska wszystkich zamężnych kobiet, świadomie przez niego zarażonych. „Rozumiesz – opowiada śmiejąc się 'londynka' – nie chciał sam schodzić z pola walki.”⁶¹

PRZYPISY

- 1 „Newsweek” z dn. 2 I 1983, s. 21
- 2 *Umrzeć nim zaświta poranek*, „Der Spiegel”, 23 IX 1985, cytują za: *AIDS – Fakty, opinie, prognozy (Wybór artykułów publicystycznych)*, Warszawa 1987, s. 2
- 3 G. Antonio, *AIDS – zmowa milczenia*, przeł. J. Szacki, Gdańsk 1993, s. 110
- 4 Informacje uzyskane w trakcie badań terenowych prowadzonych przez mgr K. Łozińską we wrześniu 1989 roku.
- 5 *Przepowiednie Jasnowidza z Ameryki Północnej*, broszura otrzymana od informatorów w trakcie powyższych badań.
- 6 Por. L.R. Leichter, *Epidemia*, przeł. A. Frackiewicz, Warszawa 1993
- 7 O starej koncepcji zła jako zmyły w wyobrażeniach zarazy i plagi pisałam w artykule: *Filmowy język plagi: „Siódma pieczęć” I. Bergmana, „Śmierć w Wenecji” L. Viscontiego, „Nosferatu” W. Herzoga*, który ukazać ma się w pracy zbiorowej *Wieczne tematy w filmie* w Instytucie Sztuki PAN, pod red. Z. Benedyktowicza, oraz w złożonej do druku (w Wydawnictwie Naukowym „Semper”) książce *Zaraza. Mitologia dżumy, cholery, AIDS*.
- 8 Por. P. Ricoeur, *Symbolika zła*, przeł. S. Cichowicz, M. Ochab, Warszawa 1986, s. 27–46
- 9 Tamże, s. 27
- 10 P. Ricoeur, *Hermeneutyka symboli a refleksja filozoficzna – I*, przeł. H. Bortnowska, (w:) *Egzystencja i hermeneutyka. Rozprawy o metodzie*, Warszawa 1985, s. 80
- 11 P. Ricoeur, *Symbolika...*, op.cit., s. 14
- 12 M. Eliade, *Traktat o historii religii*, przeł. J. Wierusz Kowalski, Warszawa 1966, s. 21. Na str. 16 pisze Eliade: „Świat myśli archaicznych cywilizacji dotarł do nas nie dialektycznie poprzez wyrażone explicite wierzenia jednostek, ale został przekazany nam w mitach, symbolach, zwyczajach, które mimo wszelkiego rodzaju zniekształceń zachowują nadal swój pierwotny sens.”
- 13 S. Sontag, *Illness as metaphor and AIDS and its metaphors*, New York – London – Toronto – Sydney – Auckland 1990, s. 134
- 14 D. Lapierre, *Więksi niż miłość*, przeł. K. Arustowicz, Warszawa 1992, s. 277
- 15 Por. Michael Jordan, *Szczera rozmowa ze skrzydlatym półbogiem z NBA o życiu po Magicu, koszykarskich wojnach indywidualności, wielkiej polityce i wielkich pieniądzach*, „Playboy” 1993, nr 8 (9), s. 29
- 16 Pisze o tym J. Delumeau w eseju *Typologia zachowań zbiorowych w czasach dżumy*, (w:) *Strach w kulturze Zachodu. XIV–XVIII wiek*, przeł. A. Szymanowski, Warszawa 1986, s. 100–101
- 17 T. Nasierowski, *AIDS – nowe wyzwanie, stare problemy*, (w:) *AIDS – nowe wyzwanie, stare problemy. Zaburzenia psychiczne związane z AIDS*, pod red. T. Nasierowskiego, H. Matsumoto, Warszawa 1992, s. 15
- 18 Por. P. Farmer, *AIDS and accusation. Haiti and the geography of blame*, Berkeley-Los Angeles-Oxford 1992, s. 78
- 19 J. Revel, J.-P. Peter, *Cialo. Chory człowiek i jego historia*, przeł. T. Komendant, (w:) *Osoby*, wybór, opracowanie i redakcja M. Janion i S. Rosiek, Gdańsk 1984, s. 242
- 20 Por. R. Otto, *Świętość. Elementy irracjonalne w pojęciu bóstwa i ich stosunek do elementów racjonalnych*, przeł. B. Kupis, Wrocław 1993, s. 191
- 21 Larry Kramer, *Szczera rozmowa z gniewnym pisarzem o miłości i seksie, o gejach i heretykach, a także o życiu, śmierci i polityce w dobie AIDS*, „Playboy” 1993, nr 10 (11), s. 34
- 22 G. Antonio, op. cit., s. 7
- 23 Z. Kuratowska, *AIDS – nowa choroba*, Warszawa 1986, s. 47
- 24 Tamże, s. 48
- 25 Tamże, s. 49
- 26 W. Osiatyński, *Kryzys czyli szansa. Szkice amerykańskie*, Warszawa 1990, s. 141
- 27 D. Lapierre, op. cit., s. 120
- 28 Tamże
- 29 *Umrzeć nim zaświta poranek*, op. cit., s. 5
- 30 J. Szmidt, *Życie z plusem*, „Twój Styl” 1993, nr 6, s. 74
- 31 *Umrzeć nim zaświta...*, op. cit., s. 15
- 32 G. van der Leeuw, *Fenomenologia religii*, przeł. J. Prokopiuk, Warszawa 1978, s. 86
- 33 S. Sontag, op. cit., s. 148
- 34 Tamże, s. 114
- 35 „Do tej pory choroby, widocznie potwierdzającej katolicką obsesję seksu i śmierci nie było; nawet syfilis traktowano jako wartość dodatkową, powstałą przy katolicyzacji obu Ameryk – szankier świadczył o tym, że jakaś Indianka trafi do nieba. AIDS natomiast spełnia marzenia katechetów: będziesz się onanizował, uschnie ci ręka; zataisz przy konfesjonale, że okłamywałeś matkę – zslag cię trafi; kochasz się inaczej niż Pan Bóg przykazał – zachorujesz na AIDS. Tu skutek ma swoją oczywistą przyczynę (grzech), a zarazem przyczyna ma zawsze wiadomy skutek; to relacja właściwa myśleniu magicznemu.”³⁵ – czytamy w artykule Tadeusza Komendanta, *Alien*, „Twórczość” 1993, nr 9, s. 74
- 36 P. Ricoeur, *Symbolika zła*, op. cit., s. 29
- 37 Tamże, s. 30
- 38 J. Gabriel, *Przekwitający mak. AIDS – ostatnie miesiące pewnej miłości*, przeł. M. Muskała, Wrocław 1990, s. 175
- 39 P. Ricoeur, *Symbolika...*, op. cit., s. 36
- 40 J. Revel, J.-P. Peter, op. cit., s. 252
- 41 P. Ricoeur, *Symbolika...*, op. cit., s. 37
- 42 G. Sieczkowski, *Zachęcający przedmiot pożądania*, „Playboy” 1993, nr 8 (9), s. 27
- 43 Por. S. Sontag, op. cit., s. 129–131
- 44 *Umrzeć nim zaświta poranek*, op. cit., s. 9
- 45 Tamże.
- 46 G. Antonio, op. cit., s. 151
- 47 A. Coxon, *Coping with the threat of death*, (w:) *AIDS – a moral issue. The ethical, legal and social aspects*, ed. by B. Almond, London 1992, s. 143
- 48 W. Osiatyński, op. cit., s. 120
- 49 U. Eco, *AIDS i esteta*, „L'Espresso”, 8 II 1987, cytują za: *AIDS – Fakty, opinie, prognozy...*, op. cit., s. 39
- 50 Tamże, s. 40
- 51 T. Nasierowski, op. cit., s. 19
- 52 U. Eco, op. cit., s. 40
- 53 J. Gabriel, op. cit., s. 176
- 54 M. Włodarski, *Ars moriendi w literaturze polskiej XV i XVI wieku*, Kraków 1987, s. 70
- 55 „Twórczość” 1993, nr 9, s. 141
- 56 Tamże
- 57 Por. Z. Bauman, *Nomada, wagabunda, turysta*, „Nowa Res Publica” 1993, nr 9, s. 26
- 58 S. Sontag, op. cit., s. 160
- 59 E. Juńczyk, *Wirus strachu i nienawiści*, „Twój Styl” 1992, nr 9, s. 56
- 60 G. Antonio, op. cit., s. 75
- 61 Ph. Boggio, *Epidemia AIDS w Kinszasie*, „Le Monde”, 24 XII 1986, cytują za: *AIDS – Fakty...*, op. cit., s. 89